Zeszyt II. Rok I.

Kwiaty Powieściowe

Lwów 11. Kwietnia 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

I.

Z werandy bzowskiego pałacyku, w stronę szosy wiodącej z powiatowego miasta, patrzało dwie pary ócz niecierpliwością i natężeniem. Młode i bystre, należały do pięknej szatynki opartej o balustradę werandy; stare i przytępione, do staruszki w czepeczku, która opierając się na laseczce, stała obok tamtej i od czasu do czasu rzucała pytanie młodszej:

— A co? niewidać?

Po otrzymaniu przeczącej odpowiedzi, staruszka wyjmowała z kieszeni szlafroczka tabakierkę i otwierając ze skrzypem wieczko tejże, raczyła się tabaczką, przyczem nie obeszło się bez użycia kraciastej chustki.

— Słońce już się chowa za Leśnę a ich jeszcze nie ma — zrobiła uwagę staruszka, po raz może dziesiąty chowając swoją tabakierkę.

Szatynka zmieniła pozycję, obróciła się żywo do staruszki i roześmiała się.

— Toż to niecierpliwość!.. Wszakże pociąg z Warszawy przychodzi o ósmej, zatem mogą być tutaj dopiero o dziewiątej.

— Jak się ten czas wlecze!.. Już się chyba dzisiaj nie doczekam...

— Ale doczeka się Brygida, doczeka. Jabym także rada zobaczyć stryjka jak najprędzej. Tak dawno go nie widziałam...

— Pewnie! Dawno! Nie będzie dwóch tygodni jak go widziałaś w Warszawie. Cóż ja dopiero mam powiedzieć. Już sama niewiem ile lat przeszło jak pana Antoniego ostatni raz widziałam.

— Przecież? — spytała panna.

— Zaraz dziecko, niech porachuję. Ty skończysz dwadzieścia lat na Matkę boską śnieżną.

— To jest za dwa tygodnie.

— Aha, a pan Antoni wyjechał z domu jakoś na 10 lat przed ślubem pana Onufrego, więc go niewidziałam pewnie ze trzydzieści lat.

— Nie pozna go teraz Brygida.

— Et! także panience coś w głowie. Jabym go nie poznała? Mój Boże, gdzie te czasy jak to robactwo pełzało koło mnie na czworakach; a takie to było obleśne, przychlebne. Teraz już nie ma takich dzieciaków... o nie ma...

— A ja? — zapytała panna patrząc z uśmiechem w oczy staruszce.

— Ty! Zbereźnico jakaś, pochlebnico, zawsze mnie musisz poprawiać... Miałam ja i z tobą dosyć kłopotu; choć co innego chłopiec, a co innego dziewczyna.

— Doprawdy?

— To się wie. Z dziewczyną zawsze prędzej sobie poradzi jak z tymi urwiszami chłopakami. A było ich trzech razem, bo z naszymi bawił się zawsze Oleś Barzykowski z Leśnej.

— Brygida musi być bardzo stara, skoro pamięta dziecięce lata mojego ojca i stryjka.

— Albo nie? Kiedy mnie nieboszczka twoja babka — panie świeć nad jej duszą — wzięła do siebie za pokojową, miałam szesnaście lat, a twój stryj i twój ojciec rodzili się przy mnie. Musiałam

to pędractwo nadzorować i niańczyć, pókim nie awansowała na klucznicę i szafarkę.

— Stryj ma 62 lat, więc wy Brygido będziecie mieli?...

— A coś koło ośmdziesiąt — jak obszył.

— Piękny wiek! A tak się jeszcze krzepko trzymacie.

— Co dziwnego. Niepróżnował człowiek za młodu, to nie było czasu zestarzeć się zawczasu. Ale my tu gadu gadu, a oni może jadą. Popatrzno Maryniu.

— Kiedy się już zupełnie ściemniło.

— Prawda! Skaranie Boże! To zobaczysz może latarnie od powozu.

— Nie zaświecą bo księżyc wschodzi.

— Możeby kazać przynieść na werandę światło? Jak myślisz?

— Dobrze. Niech Stefan wniesie lampę. Ale nie trudź się Brygido — zadzwonię.

Zaledwie po zadzwonieniu wydała rozkaz lokajowi, gdy Brygida chwyciła ją za rękę i drżąc szepnęła.

— Słyszysz? Powóz turkocze! Jadą!...

— Rzeczywiście, jadą...

Równocześnie prawie wniósł służący lampę, a przed werandę zatoczył się powóz. Marja zbiegła po schodach z wykrzykiem: stryjko! i rzuciła się w objęcia wysiadającego z powozu mężczyzny.

— Stryjko, moje serce, tylko nie uduś tego stryjka, bo ludzkość poniosłaby olbrzymią stratę, a łzy za nim popłynęłyby nie strumieniami, ale rzekami całemi. Jak się masz moje serce — i mówiąc to, przybyły serdecznie ucałował witającą, która wzięła go za rękę i po schodach, na werandę prowadziła.

— A gdzież ojczulek? — zapytała nagle.

— Dla jakichś nagłych interesów musiał zostać w mieście i przyjedzie dopiero jutro. Macie po niego posłać konie o dziewiątej rano.

— Stefanie, rzeczy pana profesora znieść do przygotowanego pokoju — rozkazała Marja czekającemu lokajowi — a za kwadrans ma być podana wieczerza.

— Dobrze, jaśnie panno!.. Lokaj oddalił się.

— Ho! ho! — idąc dalej po schodach mówił przybyły — to nie żarty... Ojciec jaśnie, córka jaśnie; same jasności. Wcale mi się to nie podoba, moje serce. Jesteśmy przecież na górze. Wysokie progi na moje nogi... Teraz możesz mnie wygodnie uściskać, moje serce — dokończył, gdy stanął na werandzie.

— Ale, miliony razy mój serdeczny stryjku — i dziewczę ucałowało znowu przybyłego, który przy świetle lampy objawił się jako wysoki, chudy mężczyzna z okularami na orlim nosie. Głowę jego pokrywał długi, siwy włos na ramiona spadający. Wysokie czoło, wązkie usta i żywe, błyszczące oczy, znamionowały mocno rozwiniętą inteligencję, jak znów uśmiech ciągły około ust igrający, świadczył o dobroduszności serca. Twarz była starannie wygolona; ani na niej śladu wąsów lub brody. W ruchach mimo podeszłego wieku, przebijała żywość prawie młodzieńcza, głos miał silny i dźwięczny.

Uwolniwszy się z uścisków bratanicy, postąpił kilka kroków ku Brygidzie, która we drzwiach wchodowych stała zapatrzona w niego z rękami na piersiach jakby do modlitwy złożonemi, a łzy ciekły po jej twarzy.

— Brygisiu, serce, cóż to nie myślisz ucałować swojego Antka? Nie widzieliśmy się pół kopy lat!.. Płaczesz? Wstydź się! Taka młoda panienka...

— Anteczku! Skarz mnie Boże!.. Paniczu mój złocisty!.. Czym się spodziewała takiego wesela! — Staruszka przypadła do ręki profesora, a choć ten starał się obronić, nie puściła jej pierwej, aż okryła pocałunkami.

— Zabytku dawnych czasów, serce Brygisiu, nie rozczulaj się bo i mnie mokro zacznie się robić pod okularami, a to rzecz niewygodna. Cieszy mnie, że cię widzę tak rzeźką jeszcze, mimo że nam po kilka krzyżyków przybyło.

— Oj, przybyło, przybyło! — westchnęła staruszka.

— Od przybytku głowa nie boli, moje serce. Tyś już na emeryturze?

— Od kiedy! Pan Onufry dał łaskawy chleb; teraz to tylko ze mnie grat niepotrzebny.

— Nie wierz jej stryjku. Mogłaby spokojnie kłaść sobie kabałę, a ona ani chwili nie usiedzi spokojnie. Czuwa nad porządkiem bezustannie, zawsze ruchliwa, zawsze czynna.

— Bez roboty jabym tydzień nie pożyła.

— Wiesz co, Brygisiu, możebyś tam i o moich rzeczach pamiętała. Znasz moje nawyczki; uporządkowałabyś drobiazgi moje.

— Książki pewnie?

— O! widzisz jak się znamy. Powiadam ci, Maniu, że nikt nie potrafił tak dogodzić moim profesorskim kaprysom jak ona. Masz tu Brygisiu klucz od kufrów, porozkładaj moje bagaże, tylko bez lokajów, bo ja nie lubię tego.

— Czy ja to nie wiem? Wszystko będzie jak należy. — Staruszka oddaliła się z werandy.

— Może stryjek pójdzie do pokoju? — spytała Marja.

— Alboż mi tu źle, moje serce. Ot, zdejmę z siebie płaszczyk, zrzucę torebkę i zasiądziemy sobie tutaj do gawędy. Wieczór ciepły, prześliczny.

Profesor, o ile na to pozwalała noc, obserwował otoczenie.

— Przecież to miło zobaczyć swoje gniazdo po trzydziestu latach.... Mój Boże! gdym tu był ostatni raz, w miejscu tego waszego pałacu stał niski drewniany dworek, na jego strzesze leżało koło dla boćka;

gdzie dziś gazon, była sadzawka dla gęsi i kaczek. Domyślałem się, jadąc tutaj, że zastanę zmiany, ale tak radykalnych nie spodziewałem się znaleźć. Szlacheckie gniazdo zamieniło się na magnacką siedzibę. O naszym ojcu mówiła służba: jegomość; teraz: jaśnie pan, jaśnie panna. Ciekawym, czy i ja tu zajaśnieję.

— Stryjowi nie podoba się widocznie takie tytułowanie?

— Mam ci prawdę powiedzieć, to nie. Zawsze ono zdradza jakieś pyszałkostwo, jakąś chęć pięcia się niepotrzebnie w górę, gdy podstawy do tego nie ma pod nogami. Jakie mi jasne państwo na jednej wiosce!...

Profesor szukał oczami krzesła. Marja podsunęła mu fotel.

— Domyślne z ciebie dziecko, moje serce — rzekł siadając. — Stań tu przy mnie, niech ci się przypatrzę. Zmieniłaś się trochę.....

— Tylko się opaliłam.

— I wyładniałam, moje serce. Mogę ci to powiedzieć, bo wiem, że nie zdumniejesz. Znam twoją główkę.

— Do której umeblowania i ty się przyczyniłeś stryjku — przymiliła się Marja, całując czoło stryja.

— No, no, moje serce, daleko ztąd do owąd.... A jakże tam ze serduszkiem, dziewczyno, jeśli wolno zapytać...

— Czemużby nie. Przysłuchaj się jak spokojnie bije. — Marja przyłożyła rękę stryja do stanika.

— Więc tu widocznie w okolicy same safanduły... Któż u was bywa? z kim żyjecie? jakie macie sąsiedztwa? Nie byłem tu dawno. Musiało się dużo pozmieniać?

— Ojczulek mówi, że tylko on jeden został z dawnych sąsiadów.

— Doprawdy? Któż np. siedzi w Skrzelach?

— Moja chrzestna matka, pani Molska.

— Dawniej należały do Gawrońskich.... Pamiętam to dobrze, bo będąc młodym, kochałem się w ich córce Annie.

— Która teraz jest wdową po senatorze Molskim i moją najlepszą przyjaciółką. Jakże się cieszę, że się spotkacie z sobą po tylu latach. Ona tu bywa bardzo często, ja u niej także...

— Bezdzietna?

— Ma jedynaka Adasia. Starszy odemnie o pięć lat.

— I umizga się do ciebie?

— O ile potrafi, bo to chłopiec bardzo nieszczęśliwy. Biedna matka nieraz kryje łzy, gdy popatrzy na niego.

— Kaleka?

— Gorzej, bo idjota prawie...

— Nieszczęśliwa kobieta. Lepiej żeby nie miała dziecka. A któż gospodaruje w Zręcinach?

— Pan Oskar Rozmyski. Niedawno je nabył od Krzemieńskich, ale zdaje się, że także niedługo utrzyma.

— Czemuż tak, moje serce?

— Utracjusz, stryjku. Bawi się w wielkiego pana, a długów ma mieć więcej jak włosów na głowie. I tego stryjko pozna, bo zaszczyca nas swoją przyjaźnią i o ile mi się zdaje, robi słodkie oczy do mojego posagu.

— Nie do ciebie?

— Bynajmniej. Zbyt samolubny i wygodny.

— Jednem słowem: facet, mówiąc po warszawsku.

— A nudny! Wyobrażenie przechodzi co to za nieznośny okaz.

— Wcale ładne początki. Któż siedzi w Oparach?

— Jakiś spanoszony żyd z Wrocławia.

— Ładnie! A Babice?

— Właśnie wystawione na licytacją za długi. Grzesiccy nie utrzymają się.

— Coraz ładniej. A jak to wysoko pluło!.. Gdy przyjechali do Warszawy, to na głupstwa wydawali setki dziennie. Ot, miłe złego początki, lecz koniec żałośny — jak powiedział bajkopisarz... Może choć w Leśnej został Oleś Barzykowski?

— Popatrz stryjku w stronę Leśnej — rzekła Marja. Spojrzał tam i zerwał się z fotelu.

— Co to? Pali się? Ogromna łuna! Pali się bezwątpienia!..

— Uspokój się i przypatrz dokładniej.

— Co to być może? Jakby się cała wieś paliła. Ale te różne odcienia ognia, te płomienie niebieskie, fioletowe, ten żar straszny... A w dymie co to sterczy tak wysoko? Raz, dwa, trzy, cztery... Jakby kominy wśród zgliszczy... Mówże dziewczyno, ja nie zgadnę.

— To huty żelazne Bodmera tak świecą każdej nocy.

— W Leśnej?

— Tak jest. Powstały przed dziesięciu laty, gdy Barzykowski sprzedał Leśnę Bodmerowi.

— Więc i jego wysadzono z ziemi! Ktoby się spodziewał... Zapowiadał tęgiego agronoma. Ha! przeżyliśmy się moje serce, przeżyli. Ale przyznać trzeba, że ta łuna fabryczna wcale ładna i imponująca... Widok ogromny... wspaniały! Napatrzeć się nie mogę... Ta gra świateł, płomieni i dymów, te błyski różnokolorowe na tle nocy — zachwycające!..

— Na miłość boską zaklinam się stryjku, nie zdradź takiego entuzjazmu w obec tatki. Jegoby to bardzo bolało. Ja również zachwycam się co wieczór tym widokiem, ale nie wydaję się, boby mnie ojcaszek wyburczał.

— A cóż jego ma gniewać mój albo twój entuzjazm dla piękna. Samby się zachwycać powinien.

— Tak, ale są inne powody dla których on znieść nie może widoku Leśnej.

— Jakież mianowicie?

— Ojcaszek, jak go stryjek zna, bardzo jest przywiązany do kraju i chciałby szlachtę widzieć na stanowisku dominującem wśród społeczeństwa, jak to bywało za dawnych czasów. Święcie się trzyma zasady, aby ziemi nie pozbywać i nie oddawać w ręce parweniuszy i cudzoziemców. Najserdeczniejszy przyjaciel Barzykowski sprzeniewierzył się tej zasadzie, sprzedając Leśnę cudzoziemcowi i od tego czasu wykreślił go z serca i pamięci, a nie mogąc na nim wywrzeć swego gniewu — bo Barzykowski wyjechał do Galicji — całą nienawiść zwrócił na obecnego posiadacza Leśnej. Nie wolno przy ojcu wspomnieć o nim, tem więcej zwracać uwagi na jego zakłady. Rozumie stryjek?

— Rozumiem, moje serce. I dawno trwa ta nienawiść?

— Nie umiem stryjkowi dokładnie powiedzieć. Dzieckiem byłam, kiedy Barzykowski sprzedał Leśnę. Przypominam sobie jednak, że wówczas i ojciec i sąsiedzi śmiali się z Bodmera, że tak drogo za Leśnę zapłacił. Mówiono że się oszukał i że jak z torbami przyszedł, tak z torbami wróci „nach Draussen". — Gdy Bodmer zaczął szukać węgli znów się z niego śmiano; gdy postawił pierwszy piec do wytapiania żelaza, ruszano ramionami z politowaniem. Potem dłuższy czas byłam w Warszawie, a gdym jako dorosła panna wróciła do domu, zastałam już wielki zakład fabryczny i nienawiść do Bodmera. Podróżowałam potem z ojcaszkiem za granicę, a gdyśmy przed rokiem wrócili do domu, zastaliśmy nie tylko powiększoną hutę, ale rozszerzone kopalnie węgla, żelaza i kolej łączącą zakłady między sobą.

— Więc niewrócił „nach Draussen" ten Bodmer?

— Nie tylko nie wrócił, ale dokupił sąsiednie Grzmoty, postawił sobie pałacyk i mówią, że robi kolosalne interesa...

— Cóż to za species generis humani?

— Albożja wiem? Nigdy go nie widziałam. O ile wiem od Molskiej, nie udziela się nikomu, z nikim w sąsiedztwie nie żyje; nawet w kościele nie bywa, siedzi w swojej Leśnej jak kret w norze, albo jak pająk, który cichaczem rozpościera swoje sieci na okolicę. Ojcaszek i dla tego nie może go znosić, gdyż Bodmer ma chrapkę na Bzów.

— Ejże! Zkąd wiesz o tem?

— Domyślam się z kilku gniewnych słów ojca. Przed kilku dniami, zaraz jakoś po naszym powrocie od stryjka ojciec dostał list; zmiął go i rzucił w ogień. Wychodząc z pokoju zaklął i powiedział w złości: Niedoczekanie ty kulturtregerze! Darmo ci się zachciewa. Nie dam ani jednej piędzi ziemi.

— Ciekawe zastaję stosunki. Bodmer? Bodmer? Gdzie ja słyszałem to nazwisko?.. Wiesz co Maniu, mam wielką ochotę poznać tego Bodmera.

— Jabym miała większą ochotę poznać jego zakład. Nigdy niewidziałam tak ogromnych fabryk wewnątrz. Mogłabym się dużo ciekawych rzeczy nauczyć. Ale to darmo. Ojcaszek nigdy na to nie pozwoli.

— Zrobimy tak moje serce. Ja którego dnia zajdę spacerem do Leśnej, poproszę o pozwolenie zwiedzenia zakładów; przy tej sposobności poznam może samego właściciela i z wycieczki zdam ci relacją. Nie rozumiem tych panów tutejszych. Urosła im pod nosem potęga, z którą chcą walczyć, a żaden nie stara się poznać jej bliżej, zbadać jej rzeczywiste siły, przymioty i wady... Ot! to strategicy moje serce. Cóż dziwnego, że w walce uledz muszą. Sprytny musi być ten wasz Bodmer. Lubię takich!

— Stryjku, co też mówisz! Tacy Bodmerzy to plaga naszego kraju...

— Jak długo sami nie staniemy na ich stanowisku. Moje serce, historja uczy, że na gruzach starych przeżytych społeczeństw i narodów, stają nowe, silniejsze i zdrowsze. Gdy sami nie chcemy lub nie umiemy być cywilizatorami, musimy uledz cywilizatorom...

— To smutne...

— Ale prawdziwe moje serce. Odpowiedz mi dziecko na jedno pytanie: Czy węgle były pod Leśną za Barzykowskiego?

— Naturalnie, że być musiały...

— A czy żelazo było w ziemi Barzykowskiego?

— Rozumie się.

— Czemuż więc dawny właściciel nie kopał węgla i nie wytapiał żelaza?

— Albożja wiem? Albo nie wiedział o tem, albo nie miał pieniędzy na to.

— Zgoda. Cóż go więc pokonało? Albo kapitał albo wiedza, a najprędzej i kapitał i wiedza. Że Barzykowski miał k pitały wiem dobrze; że mu zaś brakowało wiedzy, okazały następstwa... Ze skarbów Leśnej skorzystała nauka innego — na nieszczęście — cudzoziemca. Któż tu winien moja Maniu?

Nie zdołała dać w tej chwili odpowiedzi, gdyż lokaj oznajmił o podaniu wieczerzy i Marja wprowadziła stryja do wnętrza dworu. (C. d. n.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XV.

(C. d.) Istotnie Zalesie należało do jednej z najpiękniejszych miejscowości w naszym kraju. Dwór a raczej pałac wznosił się na dużem płaskowzgórzu, czołem zwrócony do poczynającej się tuż u jego stóp

doliny, dalekiej i szerokiej, posianej wioskami, „wyzłacanej pszenicą, wysrebrzanej żytem“ i roztapiającej się w mglistej, błękitnej dali. Przez dzień prawie cały, bo dolina ta leżała na południe pałacu, po lazurowem niebie letniego dnia toczyło się poważne, ogniste słońce, odziewając te dalekie widoki swemi złocistemi promieniami, tworząc przecudne refleksa światła. Widoku tego szerokiego nic zresztą nie zasłaniało z pałacu. Dziedziniec był bez drzew, prócz jednego dużego wiązu, setki lat liczącego, stojącego nieco na uboczu; kilka niskich krzewów berberysu i bzu włoskiego nie dawało cienia i służyło raczej dla ozdoby drogi. Na środku dziedzińca był basen, z którego wznosił się pyzaty tryton bronzowy, tryskający w górę strumieniami wody. Miller kazał naprawić zepsuty ten wodotrysk i funkcjonował on obecnie doskonale, odświeżając skwarzące się w warze słonecznym powietrze i napełniając monotonną ciszę dziedzińca, wystawionego przez cały dzień na słońce, melancholijnym szmerem.

Pod wiązem, którego szerokie, rozłożyste konary rzucały dokoła duże cienie, mieściła się kamienna ławka, gdzie można było usiąść i w niemej kontemplacji spoglądać na te widoki tonące w nieskończonej mgle oddalenia. Czasem, rzadko zresztą, przybiegał od południa lekki wiatr i chłodził tu powietrze rozpalone przez słońce. Zwykle przez cały dzień żywej duszy nie było na dziedzińcu, gdyż wszystko uciekało przed gorącem i tylko w słońcu bujały, przewracały się i szemrały nieuchwytnym szmerem drobne istoty, pyłki jakieś żyjące, niewidzialne prawie twory nieskończoności.

Sam pałac był okazałym bundynkiem XVIIIgo wieku, jakkolwiek trochę zrujnowanym i zaniedbanym przez czas. Ciężki, duży, z kondygnacjami dach nadawał mu pozór monumentalny. Ganek wystając naprzód z sześciu kolumnami o jońskich kapitelach, prowadził po dużych schodach do wnętrza. Fronton był szeroki i miał po bokach dwa krótkie skrzydła, zakończone zgrabnemi wieżyczkami. Całość robiła dobre wrażenie ze swym ciężkim barokkowym dachem i ozdobami w tymże wykwintnym, strojnym, niekiedy przesadzonym, ale niemniej przeto pięknym stylu.

Z tyłu rozciągał się duży i gęsto zarosły ogród. Schodziło się doń z tarasu po ośmiu marmurowych szerokich schodach. Taras ten ozdobiony był kamiennemi posągami w tymże stylu barokko co i cały pałac, przedstawiającymi różnych bożków i boginie mitologiczne. Wielka grupa „Porwanie Prozerpiny“ zajmowała środek schodów i zwracała na siebie główną uwagę masą kamienia i nagiemi, pulchnemi ciałami, nie bez artyzmu wykonanemi.

Szeroka aleja wysadzana grabami otwierała prześliczną perspektywę na staw, rozciągający swe lustrzane wody w końcu ogrodu i oblewający niewielkie wzgórze, na którem sterczały ruiny jakiegoś zameczku. Wysoka, pękata baszta, pokryta bujną roślinnością czepiającą się rozpadlin starego muru, stanowiła główną całość tego zameczku. Reszta rozsypywała się w gruzy, sięgające stawu. Bądź co bądź ruiny te ślicznie ozdabiały ze wszech miar piękny i romantyczny widok z tarasu. W alei znajdowały się także posągi bożków i bogiń, a tuż nad stawem wznosił się konający w uściskach wężów Laokon.

Zresztą aleja ta dość zaniedbana, zarosła trawą, była nadto szeroka, by mogła dawać dostateczny cień. Za to boczne, węższe, zacienione odwiecznemi drzewami, pełne były tajemniczego mroku i wilgoci, której nawet palące słońce czerwcowe osuszyć nie mogło.

W ogóle rzec można, pałac i ogród był prawdziwie pańską rezydencją. Wszystko tu mówiło, że ten kto budował ten pałac i zakładał ten ogród, miał poczucie piękna i nie żałował kosztów na urządzenie sobie mieszkania ze smakiem i gustem. Z każdego szczegółu przeglądał tu wiek XVIII, wiek sielanki i umiejętności używania życia na szeroką skalę. Uporządkowanie jednak, przyprowadzenie do jakiego takiego ładu tak pałacu jak i ogrodu, wymagało wiele pieniędzy. Miller wziął się do tego z zapałem.

Zachwycała Millera bujna roślinność ogrodu, prześliczne widoki, romantyczne ruiny i pałac pełen wspomnień i drgającego jeszcze życia z przed stu laty. Spędziwszy całe życie w ciasnym, brudnym i ciemnym kantorze kupieckim, upajał się szerokością oddechu, wonią roślin, masą światła i słońca. Tajemniczy jakiś urok oddziaływał na niego z wielkich sal pałacu, suto niegdyś złoconych, z mebli w stylu barokko krytych złotą brokatelą, z mnóstwa sprzętów i sprzęcików, w których się tak lubowali nasi ojcowie, a których wszędzie było pełno. Śmiał się do kiwających na etażerkach chińczyków porcelanowych, zachwycał się staremi zegarami z bronzów, pasterzami i pasterkami malowanemi na parawanach, na ścianach, na obrazach. Nie mógł zrozumieć dlaczego w tym pałacu było tyle parawanów, tyle skrytek, pokoików maleńkich, wycackanych, wyzłoconych, pełnych malowań a la Vatteau, nagich ciał, lubieżnych uścisków Korynn i Leandrów przebranych za pasterzy i pasterki. Idylla wyperfumowana, drżąca tonami gawota, przeglądała ze wszystkich miejsc tego pałacu. Zdawało się to wszystko być nienaturalnem, przesadzonem, sztucznem, a przecież nie było pozbawione piękności i pewnej powagi majestatycznej.

Z Miną uwieszoną na jego ramieniu przechadzał się po tych salach, salonikach i pokoikach i budził drzemiące echa XVIII. wieku. Owdzie na suficie, wśród dziwacznie powyginanych złoceń, malarz namalował uściski Łabędzia z Ledą, i patrząc na to stary Miller śmiał się głośno. Tu na kominku nagi Herkules prządł u nóg Omfalii, również nagiej, tworząc śliczną z porcelany saskiej zrobioną i nader kosztowną grupę. Jeszcze tam, z cennego zegaru w stylu Lu-

dwika XV, bronzowy i złocony Amor patrzał w czarne oczy Miny i naciągał łuk zdradliwie.

Posadzka skrzypiała im pod nogami i podnosił się za każdym krokiem pył, leżący na wszystkiem grubą warstwą. Zdawało im się, że czują woń stuletniego pudru, bujającego tu jeszcze od czasu, gdy damy w rogówkach i piętrowych koafiurach przechadzały się po tych salonach. Nakręcili raz szkatułkę do grania ustawioną na etażerce i usłyszeli sentymentalne, jak delikatna nić jedwabna snujące się tony gawota. Z obrazów umieszczonych na ścianach patrzały na nich piękne, na pół obnażone, pełne uśmiechów zalotnych twarze kobiece, spokojne, pulchne, myślące tylko o użyciu, rozkoszy i zabawie. Cały wiek XVIII. ze swym zbytkiem, szałem i poczją skamieniał tu w tym pałacu. W bibliotece znajdowały się wszystkie romanse z tej doby, przepyszne wydania z rycinami aqua forta, dzieła encyklopedystów, same zresztą książki francuzkie.

Mina przerzuciła je od niechenia i znalazła więcej jeszcze takich książek, jakie ukradkiem czytywała w bibliotece Millera, a które roztwierały przed nią cały nowy świat pojęć i wyobrażeń. Wszystko tu mówiło o zabawie, uśmiechach zalotnych, tajemnych uściskach, romansach snutych na złoconych kanapkach, rozkoszy i zapomnieniu o nędzach i cierpieniach tego świata. Oddziaływało to na młodą kobietę jak stuletnie wino. Wzdychała nieraz ciężko i patrząc na tych pasterzów i pasterki, całujących się gdzieś wśród konwencjonalnej idylicznej natury, przypominała sobie Julka Zarembę i mówiła, jakby z nim dobrze jej było wśród tego otoczenia, wśród tego spłowiałego zbytku, tchnącego jeszcze wonią swego wieku.

Miller zajęty urządzaniem się w swem nowem dziedzictwie, zostawiał ją nieraz przez pół dnia samą, i ona wtedy przechadzała się po tych salonach, zaglądała w każdy kąt, wdychała w siebie atmosferę ciężką, upajającą, działającą na nerwy. W mrocznych alejach ogrodu patrzała na bujne życie natury. Olbrzymie graby zdawały się jej przypominać sielankowe zabawy z przed stu laty. Podnosząc głowę widziała nad sobą tylko ciemno-zielone sklepienie liści, nierozwikłaną plątaninę gałęzi. Czasami przez tę masę szmaragdowej zieleni, przeglądał czysty lazur niebios, poważny w swych niezbadanych głębiach. Kamienne, szare od deszczu i lat, wilgotne ławki zapraszały do spoczynku, do marzeń. Po tych ławkach pełzły tu i owdzie zwoje bluszczu lub dzikiego wina, z bujnej trawy wyglądały żółte kwiaty lub czerwone gwiazdy goździków. W wilgotnej atmosferze alei, przesiąkniętej wyziewami gnijącej roślinności, w ciszy drzemiącej tu natury, brzęczały komary i złote muszki, zbiegając się gromadnie ku promykowi słońca, który przedarłszy się przez liście drzew, padał złotą plamą na trawę lub ścieżkę. Przy zachodzie słońce śląc swe promienie ukośnie, tworzyło cudowną, złocistą sieć na tychże trawnikach i ścieżkach. W drzewach, na ich szczytach rozlegał się nieustanny świegot ptactwa. Życie nie ograniczane tu niczem było bujne, przelewało się prawie, odnosiło zupełne, niezaprzeczone zwycięstwo nad nicością i zniszczeniem.

Ale wszystko to źle oddziaływało na Minę. Tam w pałacu zastygła sielankowa rozpusta XVIII wieku działała na jej nerwy, jak ludowy lubczyk, zachęcający do kochania. Romanse francuskie z biblioteki rozdrażniały ją, burzyły jej krew, mówiły jej o młodości, miłości, sile i życiu, w obec tego starego, pargaminowego męża, który jej tego wszystkiego dać nie mógł, choćby nawet chciał.

W ogrodzie w krew jej młodą przesiąkały tajemnicze płyny życia i rozkoszy, przepełniało jej pierś powietrze świeże, pobudzało do żywszego biegu tę krew. Marzenia samotne, długie, tajne pragnienia tych marzeń, myśl o życiu na pół złamanem i pozbawionem wszystkich rozkoszy, wszystkich nadziei i snów, rozstrajały jej nerwy, ubezsilniały ją zupełnie. Nieraz śnił się jej w nocy obraz przedstawiający na suficie jednego z pokojów uściski łabędzia z Ledą i energja tych uścisków, upojenie przebijające się w twarzy Ledy, jej namiętne, bezsilne oddanie się rozkoszy oblewało Minę potem kroplistym. A obok niej drzemał ciężkim snem starości Miller.

A sypiał on teraz ciężko, bo poczynał się martwić tajemnie. Koszta w niesłychany sposób się mnożyły. Mina była wymagającą, żądała, żeby wszystko było, co stanowi zewnętrzny objaw bogactwa. Musiały więc być powozy, kocze, karety, konie, służba. Wszystko to kosztowało bajecznie. Trzeba było uporządkować pałac, ogród, zakupić inwentarz, zboże na zasiew, gdyż nic nie znaleziono na gruncie i jakkolwiek Millerowi zdawało się, że za bezcen kupił majątek, teraz przekonał się, że go oszukano bezczelnie. Pocił się, ale płacił.

Gdy jednak pewnego dnia siadł do rachunków, przekonał się, że wydał dotąd wraz z kupnem wsi czterykroć sto tysięcy złotych polskich, a te czterykroć stanowią prawie czwartą część jego majątku, że jeszcze czeka go mnóstwo wydatków; gdy obliczył to wszystko, przestraszył się samego siebie. Pisywał ciągle do Lapego, by mu przysyłał pieniędzy i uważał w listach swego zastępcy pewne głuche przerażenie nad masą wydatków, nad ogromną ilością pieniędzy, które już poszły. I nie przewidywał jeszcze końca tego wszystkiego. Postanowił jednak ograniczyć się koniecznie.

Ale gdy powiedział Minie, że możnaby tego i owego nie robić, nie przebudowywać lewego skrzydła pałacu, nie zakładać oranżerji, nie trzymać masztalerza i koni do jazdy wierzchem, nie budować w ogrodzie jakichś „świątyń chińskich“, a na stawie

nie tworzyć sztucznych wysepek, rozśmiała mu się w oczy:

— Żartujesz chyba Fryc! Jesteś bogaty, a ja nie myślę umierać tu z nudów.

Robił więc wszystko co chciała, ale dziwnie posępne przeczucia budziły się w jego duszy. Nieraz nie mógł spać nocami i wtedy patrzył na śliczne ciało Miny i szeptał sobie:

— Niech będzie co chce, ja jej przecież nic odmówić nie mogę... (C. d. n.)

Pamięci Filomeny.

Wokoło park cienisty. — Balsamiczną wonią
Wiośniane dyszą kwiaty i wabią z oddali,
Kędy jaśminy drzemią nad jeziora tonią
I zieleń wiosny z brzegu przegląda się w fali,
Gdzie ciepły oddech wiatru całujący kwiaty
Nuci piosnkę wiosenną — z pobliskiej zaś chaty
Wtórzy mu śpiew dziewczęcia... — Zresztą cisza w gaju,
Że słychać szepty liści, szmer nurtów ruczaju,
Echo słowiczych pieni i — jak tam — w przestworzu
Płyną z szumem obłoki po lazurów morzu....

— Tam ona — przyszła marzyć. — W białych szat osłonie
Jak duch jasny nad brzegi zbliżyła się wody
I — dumała... Na fali srebrzystej oponie
Odbita drżała twarz jej — przecudnej urody;
W rozwianych kruczych włosach promień słońca złoty,
Rozkołysany, chwiał się całując ich sploty —
Czarne oczy płonęły jak ogniska duże
A na pąsowych ustach rozkwitały róże.

Zachwycony ścigałem cudną postać w ślady
I widziałem — jak rwała u źródeł kaskady
Białe pośnieżne kwiaty a otrząsłszy z rosy
Wpinała je nad skronią w hebanowe włosy —
I słuchała słowików i nurtów szemrzących....

— Zbliżyłem się w zachwycie — rozmarzony — z drzeniem...
Lecz kiedy się spotkałem z jej oczu spojrzeniem,
Tych oczu czarnych, łzawych, smętnych — a płonących,
Uczułem — żem im oddał i serce i duszę!...
. . . .

Te oczy mię zabiły! Tęsknoty katusze
Bolesnym, strasznym jadem do duszy się wdarły...
— Dzisiaj me serce martwe — i jam już umarły!
. . . .

Włodzimierz Narajewski.

Kwiat szczęścia.

(C. d.) Weszli do altany, gdzie Henryk usiadł, a zaprosiwszy ruchem ręki Gilberta, żeby uczynił to samo, odezwał się z niepojętym w danym wypadku spokojem:

— Przedewszystkiem wypada nam rozjaśnić sytuację! A zatem szanowny pan kocha się w mojej narzeczonej?

— Niestety! — westchnął Gilbert. — Czuję niewłaściwość mego położenia wobec pana, który masz niezaprzeczone prawa...

— Daję wam moje błogosławieństwo! — przerwał Henryk wywody rywala i z komicznym patosem wyciągnął obie ręce do błogosławienia.

— Co?—zapytał Gilbert, robiąc wielkie oczy.— Więc pan nie kocha panny Rehfeld?

— Ubóstwiam moją małą kuzynkę i z serca życzę jej wszelkiej pomyślności, ale kochać się w niej ani mi w głowie, tem mniej pragnę ją unieszczęśliwić moją ręką i nie mam nic zgoła przeciw temu, żeby mnie w tym względzie zastąpił kto inny. Widzisz pan zatem, że nie ma pomiędzy nami powodu do nienawiści i nie potrzebujemy być nieprzyjaciołmi — wygłosił Henryk z humorem.

— Nieprzyjaciołmi my? — zawołał w uniesieniu uradowany Gilbert. — Przeciwnie! zostaniemy przyjaciołmi na wieki!

— Otóż tak rozumiem! Lepiej to, jak gdybyśmy się mieli strzelać. Ale do rzeczy. Jak pan jesteś z Andzią?... przepraszam, z panną Rehfeld?

Radość znikła z oblicza uszczęśliwionego asystenta na to zapytanie i jąkając się odpowiedział:

— Właściwie nijak!

— Czyżby nie odwzajemniała pańskich uczuć?...

— Ależ ona nie wie, że się w niej kocham!... Nie odważyłem się dotychczas wypowiedzieć tego, co mi przepełnia serce i chciałem dziś właśnie uczynić stanowczy krok...

— Brawo! a więc naprzód! Andzia powróci tu zapewne, gdyż zostawiła robótkę, wtenczas przystąp pan śmiało i mów.

— Na to się nie odważę.... Chciałem jej wręczyć te wiersze, w których wypowiedziałem wszystko co czuję i cierpię od roku — odpowiedział naiwnie Gilbert.

— Od roku, powiadasz pan?.. Na honor, nie zdołałbym nic podobnego! Przy najlepszych chęciach nie potrafiłbym się kochać *par distance* cały boży rok. Dlaczego nie wziąłeś pan twierdzy szturmem?...

— Mój Boże! nigdy w życiu nic szturmem nie brałem — odpowiedział asystent płaczliwie. — Wiele to razy postanawiałem wyznać jej wszystko, ale moja nieśmiałość zamykała mi usta, krępowała mi ręce i nogi, że kroku nie odważyłem się zrobić....

— Więc dziś otrząśnij się pan ze strachu i wysławszy jako forpocztę swoje wiersze, występuj do stoczenia walnej bitwy.

— Boję się, czy wiersze nie są zbyt banalne! Pierwsza to próba na tem polu.

— W każdym razie dobrze pomyślane — pocieszał Henryk zastraszonego eskulapa, zwalczając w sobie gwałtowną chętkę do szczerego śmiechu. — Nareszcie młoda dziewczyna nie wgląda tak bardzo

w sposób w jaki jej hołdy składają, byle się widziała ubóstwianą, a jak, to jej obojętne. A zatem śmiało naprzód!

— Masz pan słuszność! — zawołał Gilbert, zrywając się energicznie z ławki. — Raz musi być temu koniec, niech się więc dziś to stanie. Zaczekam tu na pannę Rehfeld, powiem jej, że... Jezus Marja! to ona! Panie Henryku, puszczaj mnie pan!

— Dokąd? – zawołał Henryk, przychwyciwszy wymykającego się Gilberta za połę od surduta.

— Nie mam odwagi stanąć przed nią!

— Hola! mój panie! nic z tego! Zostaniesz tutaj i oświadczysz się, ja tymczasem stanę na straży, rozumie się w przyzwoitej odległości i będę czuwał, żeby was kto nie zaskoczył.

— Panie Kroneg! zlituj się nademną! czuję że mi krew bije do głowy i że słowa nie wydobędę z siebie... — błagał nieszczęśliwy Gilbert.

— Nie będę wcale żartował! siadaj pan tu, weź wiersze do ręki i naprzód! — z temi słowy wtłoczył Henryk nowego przyjaciela na ławkę, a sam znikł w krzakach przytykających do altany.

Najwyższy czas był po temu, bo tuż na zakręcie ukazała się Andzia i po chwili stanęła w altanie.

Henryk, który się poświęcił czuwać nad schadzką dwojga młodych i pilnować, żeby kto obcy nie przeszkodził Gilbertowi w oświadczeniu się tej, którą jemu przeznaczono na żonę, obrał sobie stanowisko o kilkadziesiąt kroków od altany. Nie mógł nic widzieć ani słyszeć co się tam dzieje i niecierpliwił się, bo mu cała komedja trwała za długo.

Po upływie kwadransa spostrzegł wychodzącego z altany Gilberta. Był sam, a z kwaśnej miny trudno było przypuszczać o zbytnich sukcesach. Zdążał szybko ku bramie parku, ale Henryk przeciął mu drogę i przeskakując przez krzewy i kwiaty, dopadł uciekającego.

— Jakże tam? — zapytał pospiesznie. — Cóż u licha za miny pan stroisz? Czy obdarowano cię odkoszem?

— Nie, nie! — wyjąknął eskulap, przyspieszając kroku.

— Zatem zwycięztwo?

— Nie!

— Cóż u licha? i tak n i e i siak n i e! cóż się stało?

— Brakło mi odwagi w stanowczej chwili! — wybuchnął z płaczem biedny Gilbert. — Mój Boże! mój Boże! że też moja nieśmiałość zawsze staje mi w drodze do szczęścia.

— Zaczynam wierzyć, że nie inaczej — odparł Henryk. — A cóż pańskie wiersze?

— Są w rączkach panny Rehfeld, czyta je właśnie.

— No, chwała Bogu, że chociaż tyle! zawsze to już coś. Ale dla czego pan tak spiesznie ucieka, czy nie chcesz czekać na rezultat?

— Za żadną cenę! — odpowiedział szybko Gilbert. — Ale pan, panie Kroneg znasz się na tem lepiej. Gdybyś zechciał wyręczyć mnie i dowiedzieć się, co panna Rehfeld o tem myśli?

— Oświadczenie przez prokurę? — zaśmiał się Henryk. — Nie może być żadną miarą, szanowny mój doktorze, ten krok zabiłby pana w oczach Andzi. Słówka miłości rade mieć dziewczęta z pierwszej ręki, pragną widzieć u nóg tego, komu oddają swe serca... znam dobrze moją kuzynkę. Ej! nie spoglądaj pan takim pogrzebowym wzrokiem... jakoś to się zrobi innym razem.

— Tak, tak! innym razem... — zawtórował Gilbert odetchnąwszy swobodniej. Przyszli do bramy i Henryk chciał pożegnać wystraszonego asystenta, ale ten dostrzegłszy w oczach i twarzy młodego Kronega pewien odcień ironicznego uśmiechu, zatrzymał się i wyrzekł:

— Nie myśl pan źle o mnie, nie jestem tchórzem! W czasie epidemji nie wychodziłem ze szpitala, gdzie każdy oddech mógł mnie zabić i niosłem pomoc dotkniętym straszną zarazą, byłbym bez wahania stanął z bronią w ręku przeciw panu, gdyby przyszło do pojedynku, ale wyjawić miłość moją, oświadczyć się... tego nie potrafię... — Mówiąc, spoglądał tak bezradnie i z taką niekłamaną otwartością na Henryka, że temu odeszła ochota do drwin. Ujął go za rękę i uścisnąwszy serdecznie powiedział:

— I to przyjdzie! Widzę jednak, że będziesz pan musiał urządzić małą rewoltę i stanąć okoniem swemu pryncypałowi, ale to dopiero po porozumieniu się już z moją kuzynką. A teraz do widzenia.

Gilbert podążył do domu pocieszony, że znalazł w mniemanym rywalu chętnego i szczerego przyjaciela, na którego może liczyć. Henryk tymczasem skierował kroki ku willi, a idąc mówił do siebie, przy czem śmiał się serdecznie:

— Ile to kłopotu, żeby zaręczyć komu trzeciemu własną narzeczoną. Spodziewam się, że wiersze mego adwersarza zrobią swoje i chociaż ze stanowiska literackiego straszne, znajdą u mojej kuzynki łaskę i uznanie.

Nie mylił się... Andzia siedziała w altanie i z rozpromienioną twarzą odczytywała częstochowskie rymy raz po raz tak długo, dokąd się ich nie wyuczyła na pamięć. Czem w porównaniu były dla niej utwory Hellmara? zerem! Wiersz Gilberta zatytułowany „do Andzi“ napawał ją nieznaną dotąd rozkoszą, teraz i ona miała swego wieszcza, który opiewał jej wdzięki, podobnie jak matka miała Hellmara...

Drzwi do ogrodowego salonu willi stały otworem. Ewelina siedziała pod wielkiem źwierciadłem, a obok wsparty na poręczy fotelu czytał Gwido Hell-

mar, wyjątkowo nie własny utwór, lecz poemat Szillerowski. Niezrównany rymotwórca wybierał zawsze albo własne, albo klasyczne utwory, co według jego mniemania wychodziło na jedno, ale czytał pięknie i z należytem przejęciem, to też wywierał zawsze wrażenie na słuchaczach. Ewelina odczuwała te dodatnie strony wymowy Gwidona i wsłuchiwała się z zajęciem w odczyt wiążąc machinalnie rozrzucone na stole kwiaty w bukiet.

— Najniższy sługa! — zabrzmiał w drzwiach pełny i dźwięczny głos Henryka, który w całej okazałości się zaprezentował.

— Henryk! — zawołał Gwido z wyrazem najwyższego zdziwienia. — A ty się zkąd wziąłeś?

Ale młody Kroneg nie miał czasu odpowiedzieć. Całą duszą był przy Ewelinie, która na dźwięk znanego sobie głosu zadrżała radośnie i z zachwytem pobiegła oczyma na spotkanie tęsknie oczekiwanego.

Radość i rozkoszne upojenie odbiły się w oczach Henryka, co nie uszło uwagi zapłonionej kobiety: — pod wrażeniem niespodziewanego zjawienia się młodego Kronega utraciła Ewelina zwykłą sobie pewność i w roztargnieniu upuściła bukiet, który się stoczył na dywan.

Gwido schylił się żeby podnieść rozsypane kwiaty ale Henryk uprzedził go szybkim ruchem i podając pani serca swego różnobarwne kwiecie, rzekł zwracając się do Hellmara:

— Pozwolisz, że to do mnie należało i uważam ten mały wypadek za szczęśliwą przepowiednię.

— Którą ci zawdzięczyć wypada chyba tylko nagłemu przestrachowi pani Rehfeld — odparł poeta. — Ja sam nie mniej byłem przerażony. Wpadasz jak petarda, kiedy cię się najmniej spodziewają i zjawiasz się niby duch podziemny. Powinienbyś przyjść raz do poznania, że są na świecie ludzie z nerwami...

W słowach tych rzuconych niby żartem przebijało niezwyczajne rozdrażnienie, którego zaskoczony z nienacka wieszcz nie umiał utaić. Henryk nie zważał wcale co i jak Gwido prawi, lecz skierował mowę do Eweliny, zapytując:

— Czy w samej rzeczy tak mocno panią przeraziłem? W takim razie proszę o przebaczenie.

— Nie, bynajmniej! — odpowiedziała pani Rehfeld opanowawszy wzruszenie. — Zdziwiłam się tylko i zdaje mi się, że ułożyłeś pan sobie z góry sprawić nam niespodziankę. — Słowom towarzyszył wzrok pełen wyrzutu.

— Nie taję, że zależało mi na niespodziance, która się udała — dorzucił Henryk, obejmując pełnem miłości spojrzeniem uroczą postać ukochanej.

Hellmar zamknął książkę i głośnem chrzakaniem starał się zwrócić uwagę na własną osobę, o której zapomniano, ale gdy i ten fortel nie odniósł pożądanego skutku, przypomniał sobie, że nie przywitał jeszcze Henryka, więc z miejsca rzucił się w objęcia przyjaciela oczekiwanego z takiem upragnieniem, serdecznego towarzysza lat młodych etc. Nie żałował w tej chwili najwyszukańszych słów, chcąc niemi pokryć niezadowolenie, które zbyt widocznie malowało się na jego twarzy.

* * *

Pani Ewelina otoczona obydwoma młodzieńcami i Andzią, spełniała obowiązki gospodyni domu podczas śniadania zastawionego na terasie. Kuracja doktora Eberhardta nie została bez widocznych skutków. Dawniej otulona szalami, obłożona poduszkami, była tylko biernym świadkiem jak Andzia gospodarowała przy herbacie lub kawie, dziś zmieniły się role i sama krzątała się żywo i mimo śladów przebytych cierpień, które nie całkiem znikły z bladej jeszcze twarzy, oddawała bez znużenia obowiązkom pani domu.

Rozmowa toczyła się o doktorze, któremu Gwido niezapomniał upokarzającego się z nim obejścia i nie mógł przenieść na sobie, żeby się przyłączyć do pochwalnego chóru obecnych.

— Nie da się zaprzeczyć, że w tym wypadku trafił szczęśliwie, ale większą zasługę przypisałbym sprzyjającym okolicznościom. Wydziwić się tylko nie mogę, że pani z prawdziwie heroicznem poświęceniem poddała się eksperymentacji tego nieogładzonego pana Eberhardta. Gdyby tak na mnie... raczej bym się zrzekł nadziei zdrowia i życia — wygłosił poeta, przybrawszy arcypoważną minę.

— A gdybyś pan wiedział, jak on dręczył biedną mamę! — dorzuciła Andzia, u której doktor nie cieszył się sympatją. — Zaczął od tego, że sposób leczenia poprzednich lekarzy zmienił z gruntu, wszystko zarządził wręcz przeciwnie, a broń Boże sprzeciwić mu się było. Nie zapomnę awantury jaką wyprawił, gdy mameczka upierała się przy wyjeździe do Włoch. Prosiła ze łzami w oczach, żeby nie zwiększał jej cierpień, skazując na przebycie zimy w naszym ostrym klimacie ale napróżno. Nie jesteś pani chorą na płuca — mruczał nieznośny ten dzik — nerwy łaskawej pani zbytecznie rozdrażnione przesadnem pieszczeniem i nie pozwolę, żebyś się w tym włoskim piecu piekarskim jeszcze bardziej rozstrajała. Tu zostać! a jak porządnie zamarznie i mróz pociśnie, będziesz pani wyjeżdżać po dwie godziny dziennie w otwartych sankach... przez całą zimę woził nas jak szatan po polach i wertepach. Ja straciłam cierpliwość, ale mameczka poddawała się z niepojętym dla mnie spokojem tej tyranji, jak gdyby sobie święty ślub uczyniła.

Ewelina pokraśniała i mimo, że nie podnosiła oczu, czuła na sobie spojrzenie Henryka; chcąc jednak pokryć lekkie zmięszanie powiedziała:

— Przesadzasz Aneczko! Czułam po kilku pierwszych tygodniach ordynacji doktora Eberhardta znaczne polepszenie i dlatego poddałam się zupełnie jego dyktatorskim zarządzeniom. Teraz przywykłam do dzi-

wactw tego człowieka i zupełnie mnie nie rażą, jesteśmy nawet z sobą na dobrej stopie.

— Co do nas, to chyba taki zwrot nigdy nie nastąpi. Jesteśmy w otwartej wojnie — dorzuciła Andzia wydąwszy dumnie wargi.

Służący wniósł na tacy listy przyniesione z poczty. Pomiędzy innymi był list pana radcy Kroneg pisany do Eweliny, i gdy Andzia z Henrykiem przerzucała gazety, odczytywała pani Rehfeld korespondencję, poczem odezwała się z pewnem zdziwieniem:

— Ojciec pański nie wie nic, że bawisz u nas. Pisze mi właśnie z Wildbad, że za tydzień kończy kurację i przybędzie wprost do willi Rehfeld, a pana każe się spodziewać dopiero z początkiem lipca, w którym to czasie masz dostać urlop. Jak pogodzić tę sprawę?

— Najzwyczajniej w świecie, pominąłem milczeniem zarządzenie pana ministra i drapnąłem z miasta — odpowiedział niezmięszany Henryk.

— Zbyt lekko traktujesz przyjęte obowiązki — zauważył Hellmar, odrywając się od gazety. — Taki nierozważny krok może cię pozbawić posady, z czego pan radca nie będzie mocno zbudowany. Nie pojmuję żeby tak lekkomyślnie narażać całą karjerę.

— Zostaw to mojej głowie mój kochany, tem więcej że nie masz żadnych praw mentorować nademną. Sam porzuciłeś zajmowaną posadę bez opowiedzenia się, jak tylko pierwsze twoje poezje zjednały sobie trochę rozgłosu. Dyrektor zakładu prosił cię, żebyś zaczekał dopóki nie znajdzie zastępcy na twoje miejsce, ale odpowiedziałeś wyniośle, że uważasz to niżej własnej godności bakałarzować cudzym dzieciom, gdy ci się otwiera droga do sławy i zaszczytów — odpowiedział Henryk, podrażniony nieproszoną opieką.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Potęga prawdy.

(C. d.) Marta szorstko jej przerwała:

— Przestań matko! Nie jestem głupim dzieciakiem, którego można uspić i ból ukoić lada starą piosneczką! I to mi nie pomoże, bo i w tem nie ma prawdy! Fatum złowrogie, nieubłagane, oto siła jedyna, która wszystko łamie i niszczy, i z którą daremnie walczyć się kusimy!

Matka z płaczem ręce załamała:

— Marto! Marto! gdyby te bluźnierstwa słyszał twój ojciec, twoi dziadostwo?! Nigdy nikt w naszej rodzinie takich słów nie miotał! Boże! Boże! dla czegoż musiałam dożyć i doświadczyć takiej okropności od mojej córki jedynej!

Rozpacz matki dopomogła Marcie ochłonąć z gniewu i odzyskać przytomność i rownowagę. Umilkła przerażona. Nie powinna, nie może obarczać jeszcze więcej, tej biednej i tak srodze dotkniętej staruszki. Z nadludzkiem wysileniem opanowała ból serce rozrywający. Łzy obfite ulgę jej niejaką sprawiły; minął szał dziki. Objęła matkę oburącz za szyję i głosem urywanym szepnęła:

— Przebacz!... moja droga, moja najlepsza mateczko!... Nie powinnam się była tak zapomnieć!... Trzeba umieć zapanować nawet nad cierpieniem, od którego zmysły się nam mięszają. Tyś temu nic nie winna... Wiem, żebyś dla mojego szczęścia krwi własnej nie pożałowała... Wygadałam się... wypłakała do woli..... będzie mi zaraz lżej na sercu.... a w ciągłej pracy toć i czasu nie będzie na marudzenie, stękanie i skargi niewczesne.

— Dziś jednak haftować nie będziesz — uspokajała ją czule matka.— Pogawędzimy jeszcze chwilę i zastanowimy się nad wszystkiem trzeźwo i spokojnie.... Pan Wissman nie będzie się gniewał, choćbyś się z oddaniem tego szlafroczka batystowego o jeden dzień spóźniła.

— Muszę go na czas skończyć! — cierpko wtrąciła Marta. — Należy przecież do wyprawy szczęśliwej panny młodej!

Usiadła pod lampą, trzymając haft z daleka, aby przypadkiem łza natrętna nie upadła na batyst.

Matka odwróciła się do okna, oczy nieznacznie ocierając.

W dworku naprzeciw młode dziewczę nuciło przy nędznym rozstrojonym fortepianie, romans z Żydówki: „On nadejść ma!“

Jak często była z mężem na tej jego ulubionej operze!... I ona spodziewała się, że szczęście w ich progi zawita, że pocieszy się na starość losem jedynaczki ukochanej.... a dziś wie, że jej marzenia rozwiały się, niby *fata morgana* zwodnicze, nęcące ku sobie wędrowca strudzonego wśród puszczy jałowej, ni to morze piaskiem falującej.

Eh! i to się przetrwa i przecierpi.

* * *

Z ust Marty nikt więcej słowa skargi nie usłyszał. Od świtu do późna w nocy siedziała pochylona nad robotą, haftując wieńce z róż, konwalij i niezapominajek na rozmaitych tkaninach pajęczych i przedmiotach, których Wissman dostarczał miastowym elegantkom, bądź na wyprawę, bądź do stroju balowego. Słońce coraz krótszy łuk zakreślało, wyzierając kiedy niekiedy z poza chmur szarych, niby oko łzami przyćmione.

Matka snuła się na palcach cichuteńko, jak cień, obchodząc ich maleńkie gospodarstwo, tak jakby w domu był ktoś ciężko chory, potrzebujący spokoju, najlżejszym szelestem niezamąconego. Przestała szyć:

— Tak ciemno na świecie — tłomaczyła się przed córką nieśmiało — jakby mnie kto za oczy schwycił! Nastaną dni jaśniejsze, toć i robota raźniej mi pójdzie.

Jedna przed drugą kryła się, szukając nawzajem wykrętów, byle szczerze nie wyznać, dla czego tak się zmieniły, przybladły i co rana tak długo przemywają powieki czerwone i obrzmiałe.

Lżej im było, gdy wichry jesienne zaczęły dąć i jęczeć po całych nocach, w dzień zasypując ulicę zżółkłem liściem olchowem, tam z łączki porwanem, z nad ruczaju. Mogły załkać swobodniej do poduszki, pozbawione snu, nawet tego najwyższego w nieszczęściu dobrodziejstwa. Nie chciały zdradzić się z bólem, pierś tłoczącym, a obie czuły jak im z żalu serce się kraje, gdy ukradkiem spojrzą na siebie.

Matka pierwsza uspokoiła się zupełnie. Posiadała ona doradcę i pocieszyciela jedynego, pod którego opiekę odsyłali ją miłosiernie wszyscy dawni męża znajomi i serdeczni przyjaciele, byle się pozbyć kłopotu i nie troszczyć się jego wdową i sierotą: Boga! Do niego modliła się gorąco, przed nim skarżyła się żałośliwie, jego łasce i sprawiedliwości oddawała los dziecka ukochanego. I doświadczyła wkrótce mocy cudownej szczerej modlitwy. W duszy własnej znalazła źródło pociechy, znalazła siły do ciężkiej walki z życiem.

Marcie szło oporniej. Ona nie tylko ból miała pokonać, chciałaby była jednocześnie wykorzenić i stłumić w sercu miłość nieszczęsną. Mogłaż kochać jeszcze człowieka tak słabego, tak chwiejnego? Byłże wart innego uczucia, prócz litości? Przypominała sobie jego wątłą postać, rysy miękkie, niemal kobiece, wzrok zamglony i błądzący niepewnie, z wyrazem trwogi śmiertelnej. Mężczyzna bez siły, bez charakteru i wiecznie zastraszony!

Odczytywała raz po raz kilka wierszy, przez niego na papier rzuconych, aby się zahartować w walce z własnem sercem. Tak!... tu stało napisane, krótko i węzłowato, iż zrywa z nią na zawsze.

Co innego atoli czytało się pomiędzy wierszami. Jakże mu drżała ręka, jak nierówno stawiał litery, on, który pisał tak pięknie, tak czytelnie! Te biedne, krzywe, pokręcone literki zdawały się błagać ją o miłosierdzie i wołać głosem wielkim:

— Jak możesz żądać silnej woli i samoistności w działaniu od człowieka nieszczęśliwego, który przez całe życie dzwonił łańcuchami?

Zrozumiała, iż tem li mękę powiększa, chcąc z serca wyrzucić uczucie, z którem się zrosła niejako. Ona to naprawdę była jedną z tych natur głębokich, które raz tylko w życiu i jednego kochać potrafią.

Dała więc za wygranę i walki bezowocnej zaprzestała.

Taki zamiar powziąwszy, w nocy raz pierwszy zasnęła twardo i spokojne. Śniło się jej, że umarła, a następnie zmartwychwstała, siedząc w długiej białej szacie na własnym grobie, po którym wiły się powoje różnobarwne. U ramion miała dwoje skrzydeł potężnych. Na drugiej mogile siedział Maks skulony. Los i tu nie przestał go prześladować. Jego skrzydła były nędzne i połamane; niemożliwem było wznieść się niemi ponad ziemię. Wtedy ona skrzydła rozwinąwszy, porwała go w ramiona i tam poniosła, gdzie czysta i wieczna miłość panuje.

Zbudziwszy się uczuła, iż we śnie znalazła drogę właściwą. Z serca mu zatem i na jawie przebaczyła. Jedno, jedyne, co dla niego jeszcze uczynić mogła.

Teraz atoli powinnością jej było, pomyśleć o matce, a zresztą i o samej sobie, idąc dalej naprzód krokiem śmiałym, torem raz wytkniętym.

Skoro musi się wyrzec snów rozkosznych o cichem szczęściu domowem, przy własnem ognisku, trzeba pozbyć się i myśli ponurych, które jej umysł przyćmiewają. Byle los jej oszczędził spotkania z Maksem, dopóki im naprawdę skrzydła niebiańskie nie wyrosną.

Matka lżej odetchnęła, nie zdradzając się jednak z radością przedwczesną, gdy po kilku tygodniach milczenia grobowego, spytała Marta, czy ma deseń w jakiejś poszewce podłożyć tiulem, czy zrobić z nici robótkę?... i widząc jak wspaniałą „Calę“, która w nocy zaczęła liść dotąd stulony w kielich biały rozwijać, ku słońcu obróciła. Dnia tego krzątała się starowina niezmordowanie; rozczyniła ciasto, biła jaja, wybierała rodzynki, krajała migdały, znalazła odwagę święcić jak rok rocznie dzień urodzin swojej najdroższej córuni.

Z niechęcią prawie wpuściła wygalonowanego liberzystę, który jej w zajęciu przeszkodził, rozprawiając długo i szeroko, o życzeniach swojej chlebodawczyni. Oto przysłała go panna Löwenstern z prośbą usilną, żeby Marta mogła potrudzić się do pałacu z deseniem, z którego haftowała nakrycie na stół, kupione w bazarze podczas wenty na cel dobroczynny.

Jakby kto Marcie pchnął nóż w serce, że właśnie ten deseń widzieć żądają. Raz sobie jednak powiedziała i słowa dotrzyma, że w interesie uczuciem powodować się nie będzie i nie da się zepchnąć z drogi obranej.

Odpowiedziała zatem służącemu, iż po obiedzie stawi się na rozkazy.

Gdy wstępywała po schodach marmurowych pysznego pałacu Löwensternów, spotkała się oko w oko z Heleną Althaus, w kirach żałobnych, z wielkim krzyżem na piersiach. Zatrzymywała się na każdym stopniu z wzrokiem wlepionym w drzwi parterowe, które tylko co był lokaj za kimś przymknął. Z saloniku Detlewa dochodziły pomięszane głosy męskie, między któremi można było rozróżnić śmiech serdeczny samego Löwensterna i organ pełny a niski Romana.

Gdy Helena spostrzegła Martę, skręciła noskiem cienkim i szpiczastym, jakby nagle uczuła w koło wyziewy niezdrowe i niebezpieczne.

Marta zbladła jak chusta; opanowała jednak natychmiast wzruszenie gwałtowne i rzekła głosem najspokojniejszym kamerdynerowi nadbiegającemu:

— Proszę powiedzieć pannie Löwenstern, że przyszła Marta Walther, hafciarka, z wzorkami zamówionemi.

— Otrzymałem rozkaz zaprowadzić panienkę natychmiast do budoaru — kamerdyner z grzecznym ukłonem poszedł naprzód, aby Marcie wskazać drogę.

Marta nie rzuciwszy więcej okiem na Helenę, weszła do Asty saloniku. Powitała ją serdecznie, prosząc żeby obok niej usiadła.

— Przyniosłaś mi pani wzór na owe nakrycie? — spytała, widząc w jej rękach dużą tekę. Radabym u pani zamówić całe takie umeblowanie — Asta dalej mówiła. — Zrazu wydawały mi się barwy trochę za jaskrawe, ale bliżej się rozpatrzywszy, widzę, że są mistrzowsko cieniowane i zupełnie razić nie będą w całem umeblowaniu.

— Starałam się li naturę wiernie naśladować — Marta wtrąciła. — I u mnie znajdą się barwy mdłe, niepewne, w jakich się moda dzisiejsza lubuje... liść już pożółkły, mech szaro-zielonkowaty na kamieniu omszałym...

Asta zauważyła:

— Podoba mi się w pani ta samoistność. Zwykle hafciarki idą ściśle za modą.

— I ja się do niej stosować muszę — Marta uśmiechnęła się nieznacznie. — Jeżeli pracuję na obstalunek, wtedy wykonuję ściśle rozkaz dany. W tem atoli nakryciu, wolno mi było puścić wodze własnej fantazji. Było życzeniem mojej matki, żebym tę robotę ofiarowała na fant do bazaru. Mam zaś wstręt wrodzony do dzisiejszych barw ulubionych.

— Dla czego?

— Bo nadto przypominają naturę obumierającą; co już zwiędło i podpadło zgniliźnie. Ja zaś wolę przyrodę w szacie wiosennej, godowej. Oto rozmaite odmiany tego samego wzoru.

Otworzyła tekę, wydobywając jeden papier po drugim.

— Prześliczne! — Asta wykrzyknęła z uniesieniem. — Jak ten tam szczygiełek gardziołko nadyma zabawnie, a jak ta tu gałąź wygięta naturalnie! Albo to gniazdeczko pomiędzy liśćmi schowane! Tych sześć żółtych dziobków otwartych na przyjęcie rodziców, nadlatujących z pożywieniem! Kto wykonał i stworzył niejako, coś tak wzniosłego w swojej prostocie, musi być niesłychanie uzdolnionym. Pragnęłabym go poznać. Wyobrażam go sobie wesołym i swobodnym, jak ów szczygieł na gałązce trele wywodzący, wśród grona licznej rodziny.

— Tak nie jest — potrząsła głową Marta. — Biedny człowiek, który ten wzór rysował, marzył wprawdzie o czemś podobnem, był jednak za słaby, za niedołężny, aby szczęście wywalczyć i... musiał go się wyrzec na zawsze.

Asta wpatrzyła się w mówiącą. Jak smutno brzmiały jej słowa! Jak łzawym był jej wzrok i jakim bolem tłumionym drgały zbladłe usta!

— Powinnam się była tego z góry domyśleć — wtrąciła tonem łagodnym. — Nasza wyobraźnia zwykła malować nie to co już posiadamy, ale do czego wzdychamy nadaremnie... Czyś pani to sama rysowała? — spytała nieśmiało.

— Nie — odrzuciła krótko Marta.

— Możesz tem jednak dowolnie rozporządzać?

Marta zawahała się, wreszcie rzekła tonem stanowczym:

— Mogę, na własność mi to bowiem oddano.

Wzrok Asty skierował się mimowolnie i dłużej zatrzymał na jednym z rogów. Tam cieniuteńkie gałązki tworzyły rodzaj wieńca, do jednej z nich łapeczką uczepiony wisiał, niby kulka w powietrzu, spiący szczygiełek, z główką schowaną pod lewe skrzydełko, jakby go świat cały nie obchodził i on o nim nic wiedzieć nie chciał. Pod ptaszkiem był jakiś monogram rzucony od niechcenia.

Asta spojrzała na Martę badawczo i rzekła po chwili wymijająco:

— Rzecz szczególna!... Takim samym monogramem podpisał się porucznik Althaus na rysunku, którym mnie obdarzył. Ma służyć jako wzór na szkatułkę snycerską robotą.... W pomyśle jest również pewne podobieństwo. I tamto brane z żywej natury. Kamień mchem obrosły, niosą dwa Gnomy, a zamiast antab z boku wiją się wodne węże z uszami w kształcie muszli. Myśl wielce oryginalna i stosowna na szkatułkę, w której mam chować moje klejnoty. Wszak dawne legendy każą strzedz skarbów Gnomom, wężom i.....

Zamilkła przerażona, widząc jak Marta blednie śmiertelnie. Jednocześnie atoli uśmiech tryumfu przemknął po jej drżących ustach:

— Nasz kamień pod starą olchą! — wymknęło się Marcie mimowoli. — O! wiedziałam, że tak łatwo o nim nie zapomni!

Asta ze zdziwienia oniemiała.

Nagle twarz Marty blada przed chwilą, spłonęła wstydu rumieńcem i głowa na pierś opadła.

Asta z wrodzoną jej delikatnością wstrzymała się od dalszych pytań, przeglądając pilnie resztę rysunków. (C. d. n.)

Korespondencja redakcji.

Pani Z. M. w R. W naszym zarówno jak i pani interesie zanosimy gorącą prośbę: daj pani spokój wierszom!

Drukarnia Polska ulica Jagiellońska l. 16 we Lwowie.